

MIĘDZY NAMII ANINIANINAMI

NUMER 6/14

NIECODZIENNIK

Bibl. POZIERWIEC 2001

Egz. obow.

Bibl. Publ. m.st. W-wy

Egz. obow.

Wieść gminna niesie

Od Redakcji:

Nie udało się otrzymać zgody Starostwa na usunięcie „Kąta” z jego siedziby przy ul. Zorzy. Gminne władze usiłują umiejscowić gimnazjum przy ul. Żegańskiej w budynkach ZWAR-u, na których wykupienie nie ma w gminnym budżecie pieniędzy.

Odbyło się kilka spotkań zespołu ludzi, którzy zaangażowali się we współtworzenie „Strategii rozwoju gminy Warszawa-Wawer”. Jak się nieoficjalnie dowiedzieliśmy, firma konsultingowa zarobiła na opracowaniu projektu ok. 50 000 zł. We wszystkich posiedzeniach udział biorą przedstawiciele Koła Przyjaciół Anina. Czy coś sensownego z tego wyniknie – zobaczymy po ostatnim posiedzeniu. I wtedy napiszemy, co o tym sądzimy.

Burmistrz Gminy otrzymał za osiągnięcia w pracy w ciągu roku urzędowania 13 000 zł. To jest zaledwie część kwoty, która się burmistrzowi należała – po otrzymaniu absolutorium przez Zarząd Gminy.

(R.)

Rozszerza się krąg współwydawców NIECODZIENNIKA. 4 kwietnia Zarząd Stowarzyszenia Właścicieli Nieruchomości w Aninie podjął uchwałę o skromnym dofinansowaniu naszego pisma. Może pokryje to koszty telefonicznych rozmów w sprawach redakcji? E, chyba aż tak szczodrzy Właściciele nie będą. Ale na pewno ta dotacja umożliwi nam trwanie, a decyzja – przysporzy czytelników, z czego się bardzo cieszymy, i za co z góry dziękujemy.

W bieżącym numerze publikujemy po raz pierwszy opowiadanie (str. 6-7). Bo niby dlaczego mamy stale preferować poezję? (str. 3).

A czym gorsza dobra proza?

Prozaicy – do piór!



Dom na Osiedlu JBJ



(Fot. Archiwum)

Tam, gdzie dziś jest park przed kościołem na ul. Kajki, niegdyś była pętla autobusowa

KSIĄDZ WŁODZIMIERZ ŁAWRYNOWICZ, PSEUD. „ROBAK”

W lutowym numerze „Niecodziennika” z wielkim zainteresowaniem przeczytałam artykuł A. Wiwegera poświęcony twórcom miesięcznika „Na straży”, a wśród nich – o księdzu płk. Włodzimierzu Ławrynowiczu, harcerzu i kapelanie Wojska Polskiego. A. Wiweger wspomina, że o księdzu Ławrynowiczu pisali w swoich książkach Henryk Wierchowski i Marian Albiński. Nie ukazują oni jednak w pełni losów tego zasłużonego kapłana, gorącego patrioty, ani jego barwnej sylwetki.

Kilka stron poświęca księdzu Ławrynowiczowi Stanisław Podlewski. W książce *„Wierni Bogu i Ojczyźnie. Duchowieństwo w walce o niepodległość Polski w II wojnie światowej”* zajmuje się jego niełatwą drogą do kapłaństwa w warunkach okupacji niemieckiej. Włodzimierz Ławrynowicz już przed wojną wstąpił do Seminarium Duchownego w Wilnie, ale przed 1939r. opuścił je i podjął pracę w LOPP (Liga Obrony Przeciwgazowej i Przeciwlotniczej). Z chwilą wybuchu wojny zgłosił się – jako chorąży rezerwy – do ochotniczych oddziałów obrony Warszawy i w walkach na terenie Olszyny Grochowskiej został ciężko ranny: pocisk artyleryjski złamał mu kręgosłup i strzaskał nogi. W szpitalu Ujazdowskim leżał długie miesiące, zanim usilne starania lekarzy pozwoliły mu na poruszanie się w ciężkim, gipsowym gorsecie. Duchową i intelektualną opieką otoczyli go Ojcowie Jezuici – Ojciec Paweł Warszawski, O. Kosibowicz, O. Jan Rostworowski i inni. Wreszcie – mimo inwalidztwa – został przyjęty do tajnego Seminarium Duchownego w Świdrze. Alumn Ławrynowicz zdążył już wcześniej zorganizować tajne komplety gimnazjalne dla dzieci wysiedleńców i uchodźców z zachodnich ziem Polski, a także nawiązać współpracę z partyzantką; poszukiwało go gestapo. Alumni przyjeżdżali na wykłady do Świdra, ale mieszkali prywatnie, więc mógł nadal działać czynnie w podziemiu. Nękały go wątpliwości, czy jako inwalida może zostać kapłanem, ale wreszcie w drugiej połowie 1943 r. przyjął święcenia kapłańskie. 11 października 1943 w kaplicy, w lesie koło Świdra, odprawił Mszę św. prymicyjną.

Trwskaiacv energią, zarliwy i prężny, choć dawały mu się we znaki bóle nóg i kręgosłupa, a poruszanie utrudniał gipsowy pancerz, ksiądz Włodzimierz uczestniczył w wielu inicjatywach i działaniach konspiracyjnych. Interesowały go i niepokoiły zwłaszcza losy dzieci i młodzieży, na których normalnym rozwoju tak bardzo ciążyły poczynania okupantów. Hitlerowcy odbierali im prawo do nauki, a twarde wojenne warunki demoralizowały niekiedy nawet najlepszych. Właśnie w czasie pracy wśród młodzieży poznałam księdza Włodzimierza.

Byłam wtedy studentką tajnego Uniwersytetu Warszawskiego i należałam do tajnych katolickich organizacji akademickich: kontynuującego przedwojenną działalność – „Odrodzenia” i nowo powstałej, zainicjowanej przez zaprzyjaźnionych członków kilku organizacji – „Kuźni”. Celem tej ostatniej była praca wśród możliwie szerokich kół młodzieży licealnej i akademickiej, uruchamianie samokształcenia i samowychowania, prezentowanie światopoglądu i etyki katolickiej. Organizowaliśmy cykle wykładów i spotkania dyskusyjne, jak też rekolekcje i dni skupienia. Współpracowaliśmy z profesorami wyższych uczelni i z księżmi tak wybitnymi, jak ksiądz profesor Stefan Wyszyński, ksiądz Zieja, Ojciec „Bernard” Przybylski. Jak i inne katolickie organizacje akademickie, „Kuźnia” podlegała tajnemu duszpasterstwu akademickiemu,

którym kierował ksiądz Tadeusz Jachimowski, zarazem naczelny kapelan Armii Krajowej.

Nie pamiętam dokładnie okoliczności ani daty, kiedy, to ksiądz Ławrynowicz zetknął się z naszą pracą. Był to zapewne początek 1943 r. Nasza działalność zainteresowała go i zaczął się z nami spotykać. Łączyła nas troska o wychowanie młodzieży, toteż nieraz omawialiśmy z nim nasze plany, czasem podsuwał nam swoje pomysły. Tak np. zaproponował i umożliwił zorganizowanie dla grupy kilkunastu osób z różnych wydziałów – cyklu wykładów na temat istnienia Boga. Prowadził je na bardzo wysokim, uniwersyteckim poziomie, wymagającym od słuchaczy znajomości filozofii i logiki – jeden z księży profesorów (jak teraz się orientuję) z tajnego Seminarium w Świdrze, dokąd dojeżdżaliśmy przez kolejne niedziele lata. Nazwiska wykładowcy nie znaliśmy.

Jakże bywał zmęczony przy naszych spotkaniach ksiądz Włodzimierz; zawsze w pośpiechu, zawsze pełen zapału, traktujący nas jak swoich rówieśników – zresztą wydawał się niewiele od nas starszy. Oczywiście nie znaliśmy jego nie związanej z nami działalności konspiracyjnej, jak i on nie znał naszej. Widoczne było jednak, że znakomicie orientował się w podziemiu.

W lecie 1943 r. ksiądz Ławrynowicz zaproponował mi – studentce mającej rozpocząć trzeci rok studiów na wydziale polonistyki – prowadzenie lekcji języka polskiego w trzeciej i czwartej klasie gimnazjum i pierwszej liceum szkoły, którą kierował. Uczyłam już wtedy od dwóch lat grupki młodzieży na kompletach organizowanych przez rodziców, starając się jak najlepiej wypełniać związane z tym obowiązki – ale teraz miało to być nauczanie „oficjalne”, dające uczniom odpowiednie prawa. Powierzenie mi go świadczyło o zaufaniu księdza Włodzimierza i bardzo zobowiązywało. Musiałam wtedy jeszcze dość dziecinnie wyglądać, bo gdy przyszłam umówić się na pierwszą lekcję, usłyszałam od moich przyszłych uczniów pytanie: „A koleżanka do trzeciej czy do czwartej klasy?...” Praca ta trwała tylko przez rok szkolny 1943-44, bo potem przyszło Powstanie – i opuszczenie Warszawy.

Jakie były losy księdza Włodzimierza w czasie Powstania – nie wiem. Nie wiem też, kiedy dołączył do Wojska Polskiego jako kapelan, dochodząc do stopnia pułkownika. Spotkałam się z nim dopiero w trzydzieści kilka lat później. W latach 1976-1979 jeździłam do Łodzi, gdzie na wydziale polonistyki tamtejszego uniwersytetu prowadziłam seminaria z zakresu mojej specjalności: teorii i praktyki przekładu. Dowiedziałam się, że w Łodzi mieszka emerytowany już ksiądz pułkownik Ławrynowicz. Przedtem pracował w jednej z łódzkich parafii jako proboszcz. Zatelefonowałam i kilkakrotnie go odwiedziłam, ku obopólnej radości. Mieszkał w skromnym mieszkaniu, bardzo schorowany, nie opuszczający fotela, ale zawsze równie przyjazny, pełen ciekawości ludzi i ich spraw. Miał świetną pamięć i rozmowy z nim, potwierdzające dawne wrażenie o doskonałym rozeznaniu w okupacyjnym świecie, były niezwykle interesujące, pozwalały na lepsze zrozumienie wielu wydarzeń. Mówił żywo, z niesłabnącą energią i zapałem o wielu sprawach i ludziach. Zwłaszcza o ludziach.

W kilka lat później zmarł, a jego pogrzeb – jak mi mówiono – zgromadził licznie tych, którzy z wdzięcznością wspominali jego duszpasterską pracę.

WJERSZE

SZKICE Z NATURY



przetłumaczyć wdzięk brzozy
na piórka kreseczkę
pozorną sosny miękkość
zanotować kredką
roztkliwiać się
nad każdym listkiem i igielką
podziwiać
zapominać
jak żyć tu
nielekkko



Bywa że sprawa drobna
błahostka niewinna
wydaje się jak góra
nie do pokonania
która rośnie
i cały horyzont
zastania



Oto nasz dom
jest stary i jakby utyka
lecz idzie własną drogą
nie wiem czy do przodu
za oknem czas się zmienia
i polityka
nasz dom jest sobą

Podnieś głowę
spójrz w górę
na niebo

po niebieskiej łacie
białe chmury biegną
i słońce



Nocy
pani cierpliwa
zwierzeń
porwanych myśli
ciszy
niedopowiedzeń
żalu i beznadziei

pani
uczuć skrywanych
zmagań
ze sobą samym
pani
totalnej klęski
ostatniej iskry nadziei



OŚWIATA I WYCHOWANIE W ŚLEPEJ ULICZCE

Wprawdzie tytuł jest bardzo ogólny, nie będę się jednak wypowiadał o żadnej z istniejących placówek oświatowych, mimo bowiem różnych problemów uważam, że oświata anińska ma się dobrze.

Dlaczego więc w ślepej uliczce?

Mam tu na myśli dosłownie ślepą część ulicy VI Poprzecznej (od ul. Kajki w kierunku boiska „Kąta”). Mało kto wie, że powstał tam „wirtualny uniwersytet”. Uniwersytet wszystkiego złego. Na odcinku od dziury w płocie posesji „Kąta” do zaplecza rezydencji Ambasady Koreańskiej zbierają się uczniowie podstawówki, gimnazjum, liceum, którym – w połowie drogi – zabrakło motywacji do uczestniczenia w zajęciach szkolnych lub powrotu

do domu.

Zbierają się obcy i nasi mieszkańcy, aby zażyć różnego rodzaju „relaksu”. Można się tu wielu rzeczy nauczyć: palenia, picia i nie tylko. Można też pewnie coś kupić – do palenia, picia i nie tylko. Można też coś stracić... np. torebkę.

Zapraszamy do naszego nowego „uniwersytetu” patrol ze Straży Miejskiej i Policji.

A może ktoś (kto?) o ten teren wreszcie zadba, może zagrozi od strony ul. Kajki, może zagospodaruje?

Na razie ul. VI Poprzeczną nie chodź, moja miła...

KonWój

KTO POMOŻE?

Najstarsi Warszawiacy pamiętają drobną postać „Antka-gazeciarza” – jednego z wielu, którzy wybijając takt – często bosymi stopami – wołali śpiewnym głosem: „EKSPRESS WIECZOR...”

Tymi chłopcami zaopiekował się w latach 20-tych Dziadek (sam sobie nadając to miano), śp. Kazimierz Lisiecki – człowiek, który przeżył w pamięci potomnych do dziś, czego dowodem jest fakt, że znalazł się na III miejscu w plebiscycie na **Warszawiaka XX wieku**.

To On przyjął za podstawowy kanon pedagogiczny PODMIOTOWOŚĆ DZIECKA, poważnie traktując każdego młodego człowieka, dla którego był Dziadkiem nie tylko z nazwy, ale z Serca! Dziś nie mamy gazeciarzy, ale żyje wśród nas wielu małych i dużych „Antków”, którzy potrzebują naszego wsparcia i pomocy.

Jednym z nich jest Adaś – wychowanek Ogniska „Kordon” w Sopotni Wielkiej. Urodzony i wychowany w Beskidzie Żywieckim, rozpoczął studia na wydziale geografii UW (studia stacjonarne). Poszukuje rodziny, która za pomoc przy pracach domowych i za niewielką opłatę przyjmie go pod swój dach od X br. na okres roku akademickiego, by mógł ukończyć rozpoczęte studia.

Bliższych informacji udzielę osobie zainteresowanej.

Wierzę, że wśród nas znajdzie się KTOŚ, kto może i zechce.

Wiesława Sapalak

 815 32 45

Od redakcji:

Pani Wiesława jest emerytowaną pracownicą Ogniska na Starym Mieście.

CZEKALIŚMY NA TĘ CHWILĘ 50 LAT

(26 maja 2001)

Chciałabym móc napisać: i ja tam byłam, miód i wino piłam; ale nie byłam, nie piłam, a przebieg spotkania znam jedynie z kilku relacji.

Więc: nie jadłam w restauracji „Eden” przystawek, botwinki i medalionu z indyka, tudzież ciast i deserów. Nie popijałam szampana i jakiejs dobrej wódeczki.

Jedniodniówkę wydaną z okazji 50-lecia matury w Liceum Ogólnokształcącym w Aninie (rok 1951) czytałam. Zabawna! Fragment: „Gala – galę, gala galę goni. /Klasa na nich płynie i nie tonie/ tylko się wyrabia wciąż./ by prześlizgnąć się jak wąż – /do matury, do matury, do matury”. Ciekawe, kto był autorem?

Z pogłosek wiem, że w spotkaniu uczestniczyły 23 osoby, a zorganizowaniem imprezy zajęli się (oczywiście!): Maria Chodorek, Jędrzej Kowalski, Ryszard Paszkiewicz i Teresa Terakowska.

Kto wszystkich rozbawiał? Kto był duszą towarzystwa? Profesor nauk medycznych Artur Dziak, z zawodu ortopeda, z usposobienia żartowniś, skarbnica dowcipów, wszelkich talentów, ze wspinałym głosem i słuchem włącznie (nie mówiąc o niezwykle zręcznych palcach).

Było miło, wesoło i odrobinę sentymentalnie. Nastroj oddaje wiersz Andrzeja Stankiewicza, napisany z podobnej okazji (zamieszczamy po konsultacji z uczestnikami):

To ani chybi jesień,
a może nawet zima:
zmęczone latem trawy
ku ziemi wiatr przygina...

Po burzach wyszumiałych
na twarzach bruzdy srogie
i – trochę pogubionych
wspomnień na długiej drodze.

To przecież już pół wieku.
Tamta i ten już w niebie,
a kiedy maj nadchodzi,
tęsknimy znów do siebie.

Więc chociaż coraz ciszej,
mniej ciepłe dary słońca,
my wzajem – wciąż życzliwi
i niech tak już – do końca.

(Nie była, ale opisała T.Sz.)

DLACZEGO NASZE DOMY NIE MAJĄ IMION?

Spacer jest sportem, który nie wymaga stadionów. To jest recepta bez leku, środek odchudzający bez diety, kosmetyk, jakiego nie sprzedają w sklepie. Uspokaja bez tabletek, daje terapię bez psychoanalizy, jest prawdziwym źródłem młodości. Spacer jest urlopem, który nie kosztuje ani grosza.

Ostatnio – z przyczyn ode mnie niezależnych (sanatorium) – spacerowałam ulicami Nałęczowa.

Nie będę opisywać parku – miejsca spotkań mamusi z maluchami, zakochanych par i sędziwych staruszków, karmiących ptactwo i zazdrosne wiewiórki. Zalety Nałęczowa, który leczy serce – wszyscy znamy.

Co mnie w nim urzekło? Ukryte w wąwozach, albo wzniesione na zboczach (choć stare i mało zadbane) piękne wille.

Powstałe w ubiegłym stuleciu, najbardziej okazałe, to wille: *Tolin, Podgórze, Ukraina, Oktawia, Pod Matką Boską*.

Na szczególne wspomnienie zasługuje willa *Oktawia*, z której pochodziła pierwsza żona Stefana Żeromskiego. Z nazwiskiem pisarza łączy się jego chata (obecnie muzeum), a także *Ochronka*, piękna willa z kamienia, wybudowana w 1906 roku przez Żeromskich (obecnie przedszkole).

Po roku 1900 powstały w Nałęczowie nowe domy: *Raj, Aniela, Doktorska, Marianówka, Zabawka, Wołyń, Czekoladka, Uciecha, Słoneczna, Janina, Brzozy*.

Ile domów – tyle imion. Wypisane są one na frontonach. Są to obiekty bardzo ciekawe pod względem architektonicznym. Niektóre odrestaurowane, niestety – inne bardzo zniszczone, ale każda z nich coś wyraża, choćby swoim imieniem.

Spacerując między nimi, zadałam sobie pytanie:

Dlaczego nasze anińskie domy nie mają imion?

Czy nie mają historii? Czy ich właścicielom brak wyobraźni?

Zainicjujmy zwyczaj nazywania domów.

Kiedyś np. były w Aninie domy noszące imiona: *Za grosz, Lipowa, lub Zącisze*.

Co zrobić, by w Aninie powstała *Kazimierówka, Swoboda, Maria, Lucyna, Kubaszówka*?

Warto nazwać swoje domy, będą nam wtedy jeszcze bliższe.

A gdy spacerowicz będzie przechadzał się naszymi *Poprzecznymi*, może zatrzyma się i zastanowi.... dlaczego np.: *Adamowo*?

Maria Sieczkowska
(od red.: żona Adama)

MIROK W POŁUDNIE

Wczorajsza wizyta u fryzjera i dzisiejsze umycie głowy szamponem przyniosły oczekiwany skutek. Moje ciemnoblonde włosy, przetykane srebrzystymi nitkami siwizny, ukazały się w pełnej krasie, budzą zaufanie, harmonizują z rolą wstawiającego się za kimś, reprezentowania jego lęku i poczucia opuszczenia. Do tego odprasowane spodnie, marynara oczywiście, koszula biała, w paski czy niebieska? Zdecydowanie niebieska, prawie proletariacka, biała jest zbyt wytworna, będzie się źle kojarzyć. Jeszcze spojrzenie w lustro, może być, ale to naprawdę już ostatni raz, chyba że tego postanowienia po raz któryś tam znowu sam sobie nie dotrzymam.

Autobus efka przemierza w szaleńczym tempie tak dobrze znane ulice. O tej porze jest prawie pusty, ci, co do pracy – już dojechali, są tylko studenci i uczniowie rozpoczynający swój dzień w różnych porach – nieliczni. Szybko przesiadam się raz i powtórnie jeszcze raz, w autobus, którym dojadę do celu.

Ulica przebiega przez dzielnicę, której wyjątkowo nie lubię. Oszczędzona przez wojnę, cieszy się zasłużenie złą sławą i jest mi prawie zupełnie obca. Znam tylko numer domu, do którego jadę. Po 10 minutach podróży decyduję się wysiąść; okazuje się, że trafiam dobrze, przystanek usytuowany jest naprzeciwko domu o numerze, jaki mam zapisany na karteczce.

Stara kamienica z lat 30-tych. Od frontu sklepy, biedne, zapyziałe, z wystawami, które nie znalazły od tygodni dotyku gumowej listwy zmywaka, czy choćby swojskiej ścierki; wszystkie trzy jednak to markety i shopy. Z tyłu niby to podwórko, z rzędem przepelnionych śmietników. Na murze mała, emaliowana, czerwona tabliczka głosi, że tu znajduje się Dzielnicowy Ośrodek Pomocy Społecznej. Kamienica okazuje się być domem mieszkalnym, ośrodek mieści się na najwyższym piętrze, przebudowanym na olbrzymie biuro z dziesiątkami pokoi połączonych labiryntem korytarzy, których zawiła geometria wynika, jak się tego można domyślać, z rozmieszczenia nośnych elementów budynku.

Wkraczam w ten labirynt w tonacji przynębiającej szarości, z niecyklinowanym od lat parkietem, usiłując znaleźć na licznych drzwiach wywieszkę z poszukiwaną nazwą ulicy. Irytujące, że nazwy ulic występują w porządku najzupełniej przypadkowym, a nie np.: alfabetycznym. Drzwi i framugi pomalowane niestarannie szarą farbą, tylko okolice klamek z czarnym prostokątnym plackiem, w kolorze „niebrudzącym”.

Korytarze wypełnione milczącym, a właściwie szemrzącym, tłumem ludzi. Najczęściej stoją, podpierając ściany, niektórzy siedzą na nielicznych krzesłach, większość po prostu siedzi lub kuca na podłodze, nie-

kiedy trzymając na ręku dzieci. Ich spojrzenia nie są nawet smutne, lecz pełne zrezygnowanej obojętności, apatii i beznadziei..... Czekają swojej kolejki, zgodnie z napisem – „wchodzić pojedynczo”.

Nagle uświadamiam sobie, że to moje postrzeganie – rozciągającej się przed oczyma scenerii i towarzyszącemu jej nastrojowi – jest jakieś szalenie znajome, podobne do własnych doświadczeń sprzed lat. Tak, to obóz przejściowy w Pruszkowie (Durchgangslager 121 Proszkow bei Warschau), w którym lądowali wysiedlani mieszkańcy Warszawy, nie wymordowani w trakcie Powstania Warszawskiego. Wyglądało to prawie tak samo: długie, niekończące się hale naprawcze taboru kolejowego, pod których ścianami i na przejściach chodnikowych między kanałami rewizyjnymi koczowały nieprzeliczone rzesze ludzkie, apatyczne, zależnione, niepewne swego losu.

Te niewesołe skojarzenia przyskają nagle jak bańka mydlana. Środkiem korytarza, naprzeciw mnie, zdecydowanym krokiem idzie, nie – wprost kroczy Ona, szczupła, przystojna, we wspaniałym makijażu, super elegancko ubrana i starannie uczesana, właściwie kto, modelka, aktorka, Miss Polonia??? W tej przynębiającej szarzyźnie istniejącej emocjonalnie i obecnej fizycznie, wygląda jak jarzący się niebiańskim światłem pojazd kosmiczny, który przypadkiem wylądował na złomowisku żelastwa i wraków starych samochodów, oglądany z nabożnym podziwem przez przypadkowych zbieraczy odpadków. Nie bez zdziwienia widzę, że zmierza wprost do mnie, stajemy naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem.

– A pan czego tu właściwie szuka? – Z jej postawy przebija zdecydowanie, nawyk wydawania nie znoszących sprzeciwu poleceń.

– Widzę, że pani jest nadzwyczaj dociekliwa, więc odpowiem, oczywiście. Szukam nie czegoś, lecz kogoś, ale kto to ma być, tego nie wiem. W każdym razie ktoś, u kogo będę mógł załatwić czasowe dofinansowanie czynszu mieszkaniowego i należności za elektryczność i gaz dla przyjaciela, który od 6 miesięcy po operacji leży w domu, oczywiście już nie pracuje,

do pracy wróci, ale nieprędko, a jego żona otrzymuje taką sobie pensyjke w instytucie.

– Ach tak? Oczywiście, dobrze, proszę za mną. **Przecież pan tu nie będzie z nimi stał!!!**

To zdanie zabrzmiało jak uderzenie bata, choć był to tylko policzek, ale jeszcze nie zdążyłem ochłonąć, gdy wzięła mnie pod rękę i przytuliła do siebie – niczym zakochani – popłyneliśmy przed siebie korytarzem, wśród uniżenie rozstępujących się kandydatów na podopiecznych, wiedzących widocznie kto to jest.....

Zupełnie inny świat. Przestronny świat. Przestronny pokój biurowy, białe ściany, modne zasłony z pasków, gustowne grafiki na ścianach. Przy komputerze barwnie ubrany dzieciaczek zapamiętałe wali w keyboard. Widząc nas, zsuwa się zgrabnie z za wysokiego krzeselka, kłania się i mówi wyraźnie: Dzień dobry panu!

Z sąsiedniego pokoju, właściwego sekretariatu jak się okazuje, wybiega pędem, no nie modelka, ale na pewno aktorka i mimo, że się zwraca per ty do szefowej, z jej postawy bije czolobitność, podległość i chyba uwielbienie.

– Co było? Dzwonił Zabelak z Ratusza, otworzą w czwartek akredytywy, ta inspektor, co miała być u nas dzisiaj, jest na szkoleniu o standardach opieki społecznej w Unii, poczta jak zwykle....

– Dobrze, dobrze, te akredytywy, to w pełnej wysokości....??? Zaraz, zaraz... niech tu przyjdzie Jagoda i zajmie się panem. Proszę być spokojny, pan będzie załatwiony....

Jagoda (też jest wzrok na kim zawiesić) nie wchodzi, ale wbiega, jak w wojsku, albo w obozie koncentracyjnym.

– Proszę do mnie, proszę, pan będzie załatwiony.

Czy one tu wszystkie mają bzika z tym załatwianiem? Chyba wielu delikwentów odchodzi stąd jednak z kwitkiem. Pokój Jagody jest zwykłym pokojem biurowym. Naprzeciw niej siedzi babus, na pierwszy rzut oka niesympatyczny, ale.... Na Jagodę czeka interesantka, około 40-tki, zapłakana.

– Niech się pani nie denerwuje, zapłacimy za prąd i gaz, już dostaliśmy akredy.... tzn. pieniądze. A inkasenta do domu nie wpuszczają, nie ma pani takiego obowiązku. Powiedzieć mu: niech przyjdzie z policjantem, a gdyby przyszli we dwóch, niech wejdą z dozorcą i sąsiadami jako świadkami. I nie bać się, nie bać.

– Ale pani inspektor, u nas nie ma dozorczy. A jak dzieci ich wpuszczają, kiedy mnie nie będzie?

Wówczas zdejmą licznik – mówi Jagoda – i ze ściany wystawiają będą dwa druty; jak się je połączy, to znaczy zetknie, będzie prąd. No i nie płakać, nie płakać, powiedziałam: zapłacimy. A to – wyjmuje z szuflady sto tysięcy z Moniuszką – na życie na 2-3 dni, później się wszystko załatwi.

Patrząc ukradkiem, czy wpisuje wydatek do jakiegoś raportu, ale nie. Mają do siebie zaufanie, przy takiej pracy.

Dzwoni telefon i Jagoda musi wyjść na chwilę. Przeprasza mnie i prosi, abym czekał, będę dziś załatwiony. Fiola mają z tym załatwianiem. Do babusa wtacza się interesant, tak na oko – pijak. Babus patrzy na mnie i mówi do pijaka, aby usiadł blisko niej. Rozumiem, o co chodzi, i mówię tak w powietrze, że poczekam na korytarzu. Obdarza mnie szczerym uśmiechem i ze zdziwieniem zauważam, że jest bardzo sympatyczna.

Ledwo zamknąłem drzwi, z pokoju rozległ się ryk rozjuszonej lwicy.

– Co pan sobie wyobraża, panie Matusiak, że my jesteśmy idioci?! Bierze się pieniądze na życie, a w domu libacje, wódka!!!

– Ale pani inspektor...

– Milczeć, ja mówię!!! My wszyscy wiemy, co pan sobie myśli, wszystko, nawet to, po co we wtorek był dzielnicowy... Milczeć powiedziałam!!!

– Ale pani inspektor, to już naprawdę ostatni raz, przysięgam.

Dalej dialog toczy się zupełnie spokojnie, że aż dziw, iż od wrzasków babus nie zachrył. Pijak wychodzi rozpromieniony, choć czerwony na gębę; dostał dobry ochrzan, ale i Moniuszkę. Gdy wracam do pokoju, pani inspektor też wygląda promiennie, jakby jeszcze jedną zbłąkaną owieczkę sprowadziła na dobrą drogę.

Wraca Jagoda, przeprasza za długie oczekiwanie i pyta, czy mam numery kont, na które należy wpłacać należności. Odpowiadam, że mam rachunki, które chcę jej zostawić, a tam są owe numery. To dobrze – chwali mnie, ale informuje od niechcenia, że któregoś dnia wpadnie inspektor, może nawet ona, na wywiad środowiskowy.

– Wiem o tym – kłamię jak z nut – nic nie mamy do ukrycia, przedstawiciel ośrodka będzie miłym gościem. Często tam bywam, bo im trochę pomagam, może więc jeszcze się spotkamy.

Dzień jest pogodny, słoneczny, a ja pomyślnie załatwiłem jakąś małą sprawę, przynosząc mi satysfakcję. Jednak ogrom bezradności, nędzy i poniżenia, w jakim mimowolnie biernie uczestniczyłem, skłania mnie, – do być może – naiwnego smutku. Staram się zapomnieć, uznać za niebyłe to, co widziałem. Ostatecznie wszędzie, na całym świecie, są ludzie biedni, nieszczęśliwi, każdy z nas ma dostatecznie wiele własnych problemów, lecz jak mam to wszystko usprawiedliwić przed samym sobą? Nic, już nic, nic, to jest po prostu mrok w południe.

(Moon)

Z DRZEWEM W HERBIE

Projekt opracowania herbów dla miejscowej gminy Wawer powstał podczas okupacji. Pomysłodawcy uważali, że wprowadzenie herbów do urzędowych pieczęci sołtysów poszczególnych gromad będzie przejawem niezawisłości władz administracyjnych gminy wobec Niemców.

Stanisław Krupka – ówczesny, dynamiczny wójt gminy Wawer – powierzył opracowanie projektów herbów malarzowi, Wacławowi Piotrowskiemu, wykładowcy w Miejskiej Szkole Sztuk Zdobniczych i Malarstwa w Warszawie, mieszkańcowi Wawra. Wkrótce projekty były gotowe i wójt Krupka zlecił firmie Z. Cegielski w Warszawie wykonanie ze wzorów pieczęci z herbami miejscowości. Natępnie wydał rozporządzenie wewnętrzne i w 1943 roku wprowadził herby do urzędowych pieczęci sołtysów gminy Wawer.

W pieczętkach występował zawsze wspólny motyw – zgięta w półksiężyc GAŁĄZKA WAWRZYNU oraz motyw charakteryzujący daną miejscowość. Na przykład – dla Anina była to główka kobiety (Anny, żony Ksawerego Branickiego), dla Zerzenia – sierp, obrazujący żniwa, dla Wawra – cztery strzały ułożone w kształt litery „W”.

Po zakończeniu wojny pieczętki i herby były nadal stosowane na oficjalnych drukach gminy Wawer. Dopiero po włączeniu jej – jako dzielnicy – do Warszawy, w 1951r., wprowadzono wzory zgodne z nowym podziałem administracyjnym stolicy.

Minęło ponad 40 lat. W 1944r. został wprowadzony nowy podział samorządowy i terytorialny Warszawy. Rada i Zarząd zaistniałej na nowo gminy ogłaszają konkurs plastyczny pod hasłem: „Współczesna heraldyka samorządowa – Herb Gminy Warszawa-Wawer”. Celem konkursu było przywrócenie symboliki w wyrażaniu własnej tożsamości, związku z miejscem zamieszkania oraz ukazanie tradycji heraldyki terytorialnej. W konkursie mogli uczestniczyć profesjonalści i twórcy nieprofesjonalni, nie było też ograniczeń wiekowych. Zaznaczono w regulaminie, że prace, nadesłane na konkurs, mogą być wykorzystywane przy tworzeniu projektu herbu Gminy. Jury konkursu, pod przewodnictwem członka Polskiego Towarzystwa Heraldycznego – Leszka Pułtowskiego,

przyznało pierwsze miejsce Alicji Francman – czytelniczce z Biblioteki nr. 87 w Aninie, drugie oraz trzecie miejsce uczennicom Szkoły Podstawowej nr. 109 (Zbytki), Patrycji Szafrąńskiej i Katarzynie Figurze.

Wszystkie nagrodzone prace przedstawiały drzewa – stylizowane lub potraktowane realistycznie. Ponadto wyróżniono projekty autorstwa Sylwii Kowalczyk (Szk. Podstawowa nr. 138). Pierwszy – przedstawiał gałązkę wawrzynu, drugi pień drzewa z napisem: Gmina Wawer, oraz z gałązkami (liśćmi?) noszącymi nazwy poszczególnych Osiedli. Konkurs rozstrzygnięto w 1996r. Podczas pierwszej kadencji Rady i Zarządu Gminy nie sfinalizowano projektu herbu Wawra. Pozostały kontakty z Centrum Heraldyki Polskiej. Pozostało też przekonanie, że gmina powinna mieć swoje godło.

Ostatecznie na XX sesji Rady Gminy, 28 grudnia 1999r., zatwierdzono herb i flagę Gminy Wawer uchwałą nr. 185/XX/99. Oficjalnie podano to do wiadomości w Biuletynie Wawra nr. 1 (styczeń) 2000r. Według uchwały (§1) „Herbem Gminy Warszawa-Wawer jest tarcza dwudzielną w pionie, zawierająca: w polu prawym czerwony mur (cegłany) z literą „W” (w złotym kolorze); w polu lewym – zielony dąb na złocistym tle. Czerwony mur z literą „W” nawiązuje do zbrodni wawerskiej, dokonanej przez władze niemieckie 27 grudnia 1939r. na 107 niewinnych mieszkańcach Wawra i Anina oraz rysowanej na murach warszawy litery „W” lub napisów „Wawer pomścimy”. Zbrodnia ta przyczyniła się do aktywizacji działalności konspiracyjnej w Warszawie i całej Polsce, a także do powstania słynnej organizacji podziemnej pod nazwą „Wawer”. Wizerunek zielonego dębu symbolizuje obszary leśne, charakterystyczne dla krajobrazu Gminy Warszawa-Wawer. PORA NA PUENTĘ: Drzewo w herbie zobowiązuje do mądrej polityki ochroniarskiej wobec naszego wspólnego, zielonego bogactwa. Zachowanie ciągłości przyrodniczej lasów pasma otwockiego zadecyduje o dalszym rozwoju Gminy – o jej wartości!

Maria Chodorek

Chwila namysłu

Przestań przekonywać
nieprzekonywalnych...

...bo i tak nic nie wskórasz. Jeśli ktoś wierzy w uzdrawiającą moc znachora czy energoterapeuty (jak go się teraz modnie nazywa) i nie leczy się u lekarza, to będzie – weń wierzył aż do (przedwczesnej) śmierci. Niestety, znam taki przypadek. W kiosku przeważnie kupuje się gazety i czasopisma, które utwierdzają nas w naszych przekonaniach. Brzydzimy się „nie swoimi” piśmidlami. Mamy swoją gazetę i za nic nie sięgamy po inną, w której występuje nie nasz „autorytet”. A propos: za „autorytet” uznajemy oczywiście tylko tych uczonych, dziennikarzy, polityków, którzy mówią to, co chcemy usłyszeć. Argumenty innych? Nie słuchamy, a jeśli słuchamy – nie słyszymy. Przykłady z życia wzięte? Dokonujemy starannej selekcji – uznajemy za prawdziwe tylko te, które potwierdzają naszą tezę.

OBIEKTYWIZM? A co to takiego?

(JotBe)

Pani Halina z NASZEGO SKLEPU

Pyta pani, jak teoretycznie przygotowywałam się do zawodu sprzedawcy. Wcale się do tego nie przygotowywałam, ponieważ pragnęłam zostać fryzjerką i pod tym kątem kontynuowałam naukę w szkole średniej. Nawet zaczęłam pracę w zakładzie fryzjerskim – i pracowałam między innymi u pani Eli, naszej sąsiadki w Pawilonie, potem w Józefowie.

Praktykę, jako sprzedawca, zaczęłam w sklepie swojej starszej siostry, w Warszawie. Osobiste, ciężkie przeżycie sprawiło, że na trochę przerwałam pracę. Do jej ponownego podjęcia namówił mnie pan Zdzisław, przyjaciel mego męża, Jacka, sąsiad z Otwocka, właściciel tego sklepu.

Pyta pani, dlaczego jestem pochmurna, dlaczego rzadko się uśmiecham? Trochę to wynika z mojego charakteru, trochę – z urazu, wywołanego ciężkim przeżyciem, trochę z przepracowania i poczucia ciężkiej na mnie odpowiedzialności. Pan Zdzisław obdarzył mnie ogromnym zaufaniem. Nadzoruję sklep w czasie nieobecności kierownika. Wstaję o 5 rano, żeby o 6-tej wraz z szefem sklep otwierać. Często zdarza się, że tegoż dnia sklep zamykam. Nie liczę godzin swojej pracy, bo ją po prostu lubię, choć może się to komuś wydać dziwne. Jak można lubić stanie na nogach przez wiele godzin, przyjmowanie towarów, ich rozmieszczanie na półkach, czasem sprzedawanie za ladą, czasem przyjmowanie pieniędzy w kasie, czasem obsługa kserografu. Robię wszystko. Z koleżankami – jak to w pracy: z jednymi przyjaźnię się, znam je od trzech lat (tyle czasu tu pracuję); z innymi – jestem na dystans, bo jako odpowiedzialna za sklep wobec szefa, czasem muszę im zwrócić uwagę, co zresztą nie jest dla mnie przyjemne.

Co sędzę o naszych klientach? Przeważają ludzie nadzwyczaj mili, kulturalni; ale przecież ludzie są różni. Są tacy (na szczęście bardzo nieliczni), których wejście do sklepu oznacza: będą problemy. Czasem klient – zwracając nam uwagę, ma rację – a to towar okaże się gorszej jakości, a to źle coś obliczymy. I robi nam grzecznie uwagi, rozumiejąc, że i my możemy się pomylić.

Zdarza mi się, że jestem dla kogoś niezbyt miła, ale przecież ludzie bywają zmęczeni – za równo po tej, jak i po drugiej stronie lady.

Mówi pani, że nie cierpi być podejrzliwie obserwowana przez ekspedientki przy robieniu zakupów. To rzeczywiście nieprzyjemne, ale konieczne. Z półek sklepowych znikają towary nie zgłoszone do kasy. Biorą je przeważnie ludzie w starszym wieku, zapewne emeryci, ale nie biorą towarów pierwszej potrzeby, jak mleko, czy bułki, co byłoby zrozumiałe. Zabierają: kawę, czekoladę, jakieś drogie środki czystości. No i młodeż zaliczyć trzeba do tej grupy, na którą należy uważać.

Zaprzyjaźnionych klientów, z którymi chciałabym pogadać – nie mam. Bo nawet jeśli czasem zacznę jakąś rozmowę, to zaraz mnie od nich odrywają: o, właśnie... pani Halinko, towar przyjechał...

Teresa Szymczak

Nasze najładniejsze

Tej wiosny Osiedle JBJ jest wyjątkowo piękne. Zadbane trawniki zielenią się intensywnie, przyszyte krzewy i drzewa kwitną na potęgę. Bez fałszywej dumy możemy powiedzieć: to najpiękniejsze osiedle w Warszawie. Jego mieszkańcy (nie tylko spółdzielcy) chcieliby wiedzieć, jak zakończyła się sprawa opłaty za wycięcie bez zezwolenia drzew przez nie- (na szczęście byłego) prezesa Spółdzielni „Anin”; co z za-

dłużeniem tejże spółdzielni wobec ZWAR-u, czy nie grozi jej bankructwo, jak przewidywał w 1999r. autor artykułu „Zemsta drzew” w „Gazecie Wyborczej”? Dlaczego tak długo ciągnie się sprawa sporu sądowego ze Wspólnotą Wrzos?

Na te i inne pytania chcielibyśmy uzyskać odpowiedzi, które mamy nadzieję opublikować w następnym numerze.

K.C.

W nr 5/13 (maj 2001) MNA na str 11, w informacji „BOJE O GÓRKĘ DELMACHA”, znalazł się istotny błąd, który niniejszym prostujemy: Pan Zbigniew Grycan jest właścicielem budowli od ul. ODRODZENIA – nie Odrowąża!

Bojów ciąg dalszy

Koło Przyjaciół Anina informuje, że Główny Inspektor Nadzoru Budowlanego wydał 30.04.01 bulwersującą opinię, po rozpatrzeniu odwołania pana Zbigniewa Grycana od decyzji Wojewody Mazowieckiego, stwierdzającego nieważność decyzji Burmistrza Gminy Warszawa Wawer, udzielającej skarżącemu pozwolenia na budowę budynku mieszkalnego, jednorodzinnego na działce nr ew. 71.

Zbyt zagmatwane?

Spróbujmy od początku.

Burmistrz Gminy Wawer udzielił pozwolenia na budowę. Wojewoda stwierdził nieważność tej decyzji. Główny Inspektor Nadzoru Budowlanego „uchyla zaskarżoną decyzję w całości i odmawia stwierdzenia nieważności decyzji Burmistrza Gminy Warszawa Wawer z dn. 12.10.1998 r”.

Decyzja Głównego Inspektora może zostać jedynie zaskarżona do Naczelnego Sądu Administracyjnego.

Maria Chodorek

Umarła Krystyna Filimowska. Odeszła 5 kwietnia. Nasza członkini, przyjaciółka, dobry człowiek. Mieszkanka Anina od lat kilkadziesiąt. Długoletni pracownik laboratorium Szpitala Grochowskiego. Miła, życzliwa, skromna i pomocna każdemu, kto jej pomocy potrzebował. Ceremonia pogrzebowa – z udziałem przybyłego z Austrii syna i bardzo wielu przyjaciół – odbyła się 10 kwietnia 2001r.

Przyjaciele o Niej nie zapomną,
jak też ci, którym pomagała:

Koło Przyjaciół Anina

**Wyrazy współczucia w trudnych chwilach po śmierci męża, Bolesława –
Joannie Kuncewicz-Urban składa:**

KOŁO PRZYJACIÓŁ ANINA

WYSTAWA PRAC ALICJI RETKOWSKIEJ „MUSZLAMI MALOWANE”

KILKA SŁÓW O AUTORCE WYSTAWY

Alicja Retkowska, z wykształcenia ekonomistka, zajęła się pracą artystyczną po przejściu na emeryturę w 1982 r.

Pracę twórczą poprzedziło kolekcjonerstwo. W wyniku bowiem licznych podróży po świecie, zebrała pokaźny zbiór muszli. Zbierała je nie pod kątem wiedzy czy unikalności przyrodniczej, lecz pod kątem piękna, oryginalności kształtu, niezwykłości barwy.

To właśnie stało się inspiracją do wypowiedzi artystycznej, nie tylko w formie malarstwa, lecz także w formie mozaiki z muszli.

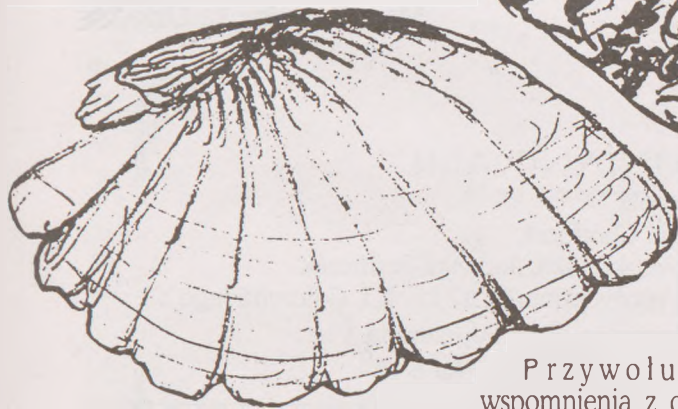
Prace malarskie prezentowała dotychczas w sześciu różnych ośrodkach kultury, natomiast prace z muszli pokazała po raz pierwszy w Stołecznym Klubie Garnizonowym Domu Wojska Polskiego w Warszawie, przy Al. Niepodległości 141, w 1991 r.

W pracach tych łatwo prześledzić etapy świadomości twórczej Autorki, coraz wyższe wymagania sobie stawiane, rozwój pomysłowości. Widoczny jest w nich nie tylko zachwyt nad muszlami, o których mówi w swej wypowiedzi. Jest w nich widoczna także miłość do piękna przyrody i twórczy instynkt dodawania czegoś nowego do zastanej rzeczywistości. Trudno także oprzeć się jakiejś ciepłej atmosferze, pełnej delikatności uczuć i odczuć, jaka emanuje z tych prac i za które wypada mi szczególnie podziękować Autorce. Życzę wspaniałych dalszych sukcesów w tej oryginalnej dziedzinie wypowiedzi artystycznych, dla których tworzywem jest właśnie cudowna muszla.

dr Halina Duczmal-Pacowska

„MUSZLOWE KOMPOZYCJE”

składają się z muszli, zebranych przeze mnie z różnych mórz i oceanów.



Przywołują wspomnienia z odbytych podróży. Stanowią wspa-

niałą ich pamiątkę.

Zdumiewało mnie zawsze piękno muszli. Postanowiłam to podkreślić i uwiecznić, robiąc obrazy na zasadach mozaiki. Sama natura podpowiedziała tematy obrazów.

Szczerze zachwycalam się muszlami, śledząc ich kształty, barwy. Inspirowały mnie do własnej wypowiedzi.

Każda muszla stanowiła niepowtarzalny cud natury.

Kilometrami przemierzałam plaże w poszukiwaniu ciekawych okazów. Zbierałam je troskliwie. Wychwytywałam niekiedy wprost z fal, niekiedy wydobywałam z piasku plaży.

Niezapomniane to chwile: groźny ocean huczy, pieni się; stoję bezbronna wobec potężnego żywiołu, zadumana nad bezkresem wód, podczas gdy fale wyrzucają na brzeg niezwykle dowody życia w oceanie.

W obrazach moich pragnęłam zamknąć nie tylko swój zachwyt nad naturą, ale chciałam wyrazić również całą gamę skojarzeń i refleksji, jakie narzucają się zapałtrowemu w przestrzeń wodną widzowi.

Jest w muszli piękno i tajemnica. Praca kunsztowna natury, melodia szumu fal, rytmicznych lub gwałtownych uderzeń o brzeg i kalejdoskop zmieniających się barw.

Muszle fascynują. Nic dziwnego, że stają się amuletami dla żeglarzy; jako gwarancja udanej podróży, są symbolem pielgrzymowania. Uważano je za

przynoszące szczęście; coś, co ułatwia zdobycie władzy i bogactwa. Bogowie morscy,

Posejdon i Galatea, podróżują na rydwanach z muszli, ma je również Fortuna. Są atrybutem Afrodyty, jako symbol kobiecości, urody i wdzięku. Stały

się także symbolem duszy ludzkiej, zamkniętej w ciele, symbolem nieśmiertelności.

Czy można się dziwić, że człowiekowi trudno jest oprzeć się ich pięknu i tajemnicy?

Alicja Retkowska

KLUB KULTURY „ANIN”

ul. V Poprzeczna 33, tel.: 815 41 40

Klub Kultury „Anin” powstał w 1983 r. jako Dzielnicowy Ośrodek Kultury. Stanowi centrum życia kulturalnego Anina. Zajmuje się rozwojem i upowszechnianiem twórczości amatorskiej: dorosłych, młodzieży i dzieci. Jest miejscem spotkań towarzyskich. Tu odbywają się bale noworoczne i imprezy karnawałowe. Dzień Dziecka, Matki, Ojca, Babci, Dziadka – to nasze święta szczególnie. „Zima” i „Lato w mieście” należą do naszych stałych imprez.

W klubie działają: Kabaret Seniorów „ZADRA”, Towarzyski Klub Seniora „RELAX”, Studio Piosenki, Pracownia Sztuki Dziecka „PLASTUŚ”, Pracownia Sztuki Młodych, Sekcja Szachowa, Klub Brydża Sportowego, Sekcja Komputerowa, Sekcja Muzyczna (nauka gry na pianinie, gitarze, saksofonie, flecie prostym i poprzecznym), Sekcja Aerobiku, Sekcja Taneczna, Kurs Nauki Języka Angielskiego, Kurs na prawo jazdy, Koło rzeźbiarskie „DROGA”.

Z gościnności Klubu korzystają: Koło Przyjaciół Anina, Koło PTTK nr 10, Związek Emerytów, Rencistów i Inwalidów „WAWER”, Rada Wspólnoty Anina, Związek Kombatantów R.P.

W Klubie przyjaźnie witamy przedstawicieli każdego wieku. Każdy może znaleźć coś ciekawego dla siebie. Anin to nasza „mała ojczyzna”, a Klub jest miejscem, gdzie dla Was odbywają się ciekawe i ważne imprezy.

W dniu 29.05. br. w ramach Dni Kultury Wawra w klubie odbyło się wiele imprez pod wspólnym hasłem „ANINALIA”. Był mini – festyn, podczas którego występowały na terenie ogrodu dzieci oraz młodzież, uczestniczące w zajęciach sekcyjnych prowadzonych przez Klub. Były popisy na pianinie, gitarze, saksofonie. Członkowie sekcji tanecznej „Beginers” pięknie zatańczyli, a instruktorka aerobiku poprowadziła na świeżym powietrzu zajęcia dla wszystkich. Odbyły się konkursy: rzeźbiarski i plastyczny. Można było zagrać w szachy, jak i mniej znane gry, takie jak: krokiet, indyaka, obręcze, podkowy. Zabawa była wyśmienita i nawet niewielki deszczyk został prawie niezauważony.

W tym samym dniu odbyło się spotkanie z Januszem Horodniczym i jego filmami o naszych znanych sąsiadach: Emilu Karewiczu i Mieczysławie Wojnickim. Gośćmi honorowymi byli państwo Wojniccy. Wspomnieniom i wzruszeniom nie było końca.

Na zakończenie Dnia „ANINALII” została otwarta wystawa Alicji Retkowskiej „MUSZLAM I MALOWANE”. Przepiękne, pełne fantazji prace cieszyły oczy zwiedzających. Uroku tej wystawy nie da się opisać słowami, trzeba to zobaczyć. Wystawa będzie czynna do 22.06.2001r.

Maja Wierzbicka-Dziedzic



MIEDZY NAMI ANINIANINAMI



Redaguje zespół:

Monika Bucewka, Maria Chodorek,

Alicja Francman, Hanna Orkisz, Maria Sieczkowska, Jadwiga Szymczak

przy współpracy z Kołem Przyjaciół Anina oraz z Wypożyczalnią nr 87 im. K.I. Gałczyńskiego.

Adres do korespondencji: 04-605 Warszawa, ul. III Poprzeczna 3

Ksero: Nasz Sklep, 04-642 Warszawa, ul. Zambrowska 8/10

